

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów Wlkp., dnia 21 — 28 stycznia 1951 r.

Nr 3

Poszukiwanie Boga

„Oczy moje zawsze ku Panu“. Tak śpiewa psalmista i tak mogą powiedzieć święci. Ale jak mało powtórzyć możemy te słowa my, którym tak trudno bez roztargnienia spocząć w obecności Boga nawet w modlitwie i którzy za dnia zdajemy się całkiem o Nim zapominać. Zapominamy, że nie można być z Bogiem nie wywalczając sobie drogi do Jego obecności, nie szukając Boga w długim i ciężkim trudzie.

Czasem się mówi: Bóg już jest w nas; jesteśmy ochrzczeni, więc Bóg mieszka w nas; mamy Eucharystię i Chrystus jest naszym gościem. Tak, ale co innego gość w domu, a co innego wiedzieć, że gość jest. Sakramenty dają moc podstawową do poznania i miłości Boga. Ale nie są magią. Eucharystia oznacza obecność Chrystusa w nas; lecz bez naszego wysiłku może On zostać nieznanym. Dlatego św. Teresa mówi, że po Komunii św. trzeba zapomnieć o wszystkim, zejść w głąb duszy i znaleźć w sobie Obecność.

Jak nauczyć się poznawać i żyć w Bogu? Aby na to odpowiedzieć trzeba przemyśleć życie modlitwy, naszą postawę wobec schorzeń i chrześcijańskie pojęcie życia moralnego; bo to wszystko są aspekty szukania Boga. Zaczniemy od prostego faktu danego nam przez dobroć bożą.

Czasem się mówi: o ileż łatwiej byłoby na świecie, gdyby tu Chrystus był osobiście, gdyby można Go widzieć, słyszeć Jego słowa, jak nieuchronnie myśl nasza byłaby zawsze przy Nim. Zapominamy, że Chrystus jest tu osobiście. Nie mogąc widzieć Go oczyma, jak widziano Go w Palestynie, możemy jednak poznać Go, rozmawiać z Nim, słuchać Go, jeżeli podejmiemy skuteczny wysiłek. Ale dobrze jest się czasem tak zastanowić: przypuśćmy, że Chrystus w postaci widzialnej pojawia się u nas w pokoju. Cóżbyśmy zrobili? Może cześć, wstyd, przestraszyć zatrzymałby nas w miejscu. A może spodziewalibyśmy się, że mimo naszych win Chrystus uśmiechnąłby się do nas, jak uśmiechał się do innych w Palestynie. Gdyby to uczynił, nie zapomnielibyśmy o tym nigdy tak, jak nie zapomnielibyśmy nigdy Jego gniewnego spojrzenia.

Dobrze jest tak sobie czasem pomyśleć, bo wtedy przychodzi nam na myśl że właśnie On tu jest. Ten, który mówił w Ewangelii o zatraceniu wiecznym i o karze; Ten, który mówił o sprawach radosnych, uzdrawiał chorych, tulił dzieci, oczyszczał i pocieszał grzeszników, jest z nami w tabernakulum. Lecz myślimy o tym, jak o jakiejś abstrakcji, a postępujemy tak, jakby to nie było prawdą.

Co przez to tracimy? Między innymi zdolność stałej, radosnej uległości Jego woli. Gdyby był wśród nas cieleśnie, widzialnie, i zażądał jakiejś służby, czy wahałoby się? Czy związane z nią niewygody miałyby jakieś znaczenie? W perspektywie nieskończonej miłości i jej oślepiającym ogniu byłyby one niczym. Tymczasem marnujemy to, co jest nam dane. Nawet gdy stajemy wobec tabernakulum, myślimy nasze są pełne siebie, wypełniają nas nasze kłopoty, nie umiemy spojrzeć na nieskończoność. Stąd tak cenne jest wszystko, co może wzmocnić poczucie Jego obecności. Kościół uczy nas jednej prostej rzeczy, która dobrze wykonana, jest w tym wypadku bardzo przydatna: klęknięcie w kościele.

Kłękac — co to znaczy? Jest to znak poddania, zależności i służby. Oznacza: uznaję, że Bóg jest ważny, a ja nie. Oznacza to, co psalmista wyraził w słowach: „Jestem sługą Twoim“, a Maryja w słowach: „Oto ja służebnica Pańska“. Wyraża się tu jedność woli naszej z wolą Boga, co jest celem naszego wysiłku.

(Dokończenie na str. 12)



CZŁOWIEK

Czytelnicy prasy katolickiej zauważyli zapewne, jak wiele uwagi poświęca ona problemowi człowieka, wytworom jego umysłu, wszelkim sprawom, które bezpośrednio czy pośrednio z nim się wiążą. Wydawało by się pozornie, że system światopoglądowy o tak wyraźnym nastawieniu teocentrycznym, jak katolicyzm powinien determinować publicystów i myślicieli katolickich w kierunku rozważań poświęconych wyłącznie Bogu. Wytlumaczenie tego stanu rzeczy znajdziemy po dokonaniu analizy hierarchii chrześcijańskich wartości. W skali obejmującej doczesność z pozadoczesnością, wartością absolutnie najwyższą jest Bóg. W Nim znajduje jednoznaczne uzasadnienie istota i sens naszego życia (w tym znaczeniu m. in. mówimy, że Bóg jest Prawdą). On stanowi ostateczny cel ziemskiej wędrówki człowieka. W życiu doczesnym natomiast, wartością zajmującą niezaprzeczalnie drugie miejsce po Bogu, jest człowiek stworzony przez Niego. Człowiek jest twórcą idei i koncepcji przekształcających materialną rzeczywistość, jego postawa wobec świata wielokrotnie w wyznacznym ogólnoludzkim staje się wyznacznikiem przyszłych dzieł ludzkości, on wreszcie jako organiczna częśćka miliardowych rzesz odpowiada za oblicze moralne grup, do których przynależy. Oto dlaczego katolicyzm tak dobitnie akcentuje potrzebę maksymalnego napięcia uwagi w kierunku tej przedziwnej istoty psycho-fizycznej, jaką jest człowiek. Zgodnie ze światopoglądem chrześcijańskim, człowiek stapiający się z Bogiem poprzez fakt posiadania nieśmiertelnej duszy, jest królem istot żyjących. W łańcuchu wzajemnych zależności ustępuje miejsca tylko aniołom i Bogu.

Obrzymia godność człowieka, wielkość celu, który ma osiągnąć, krętość dróg życiowych, którymi można kroczyć — wszystko to sprawia, że aby poznać człowieka do głębi i świadomie wpływać na jego losy, trzeba sumiennie budować gmach wiedzy o nim. Katolicyzm jest systemem religijnym badaj najlepiej znającym człowieka. Kościół zbierał wiedzę o człowieku od początków swego istnienia, z troską badał wnętrza, sięgał do najintymniejszych komórek duszy. Nie czynił tego z prostej ciekawości. Instytucja spowiedzi pochodzi od Chrystusa. Jest ona najlepszą formą bezpośredniego zbierania wiadomości o człowieku i to wiadomości najciekawszych.

Bo człowiek jest istotą ciekawą. Nie ma błędów, lotrostw, zbrodni, których by nie popełnił, ale nie ma też czynów wielkich, świętych i wzniosłych, do których nie byłby zdolny. Historia ludzkości to historie wojen, podstępów, oszustw, wyzysku, ale także historii miłości, wielkich ofiar, przebaczenia, chlubnych myśli i czynów. Równą miarą można mierzyć otchłań upodlenia ludzkiego i potęgę jego świętości. Zdegenerowani sybarcy rzymscy i św. Paweł, krwiożerczy kacykowie średniowieczni i św. Tomasz, Hitler i Ojciec Kolbe — to wszystko ludzie. Dzieje myśli i kultury wstęga olśniewających syntez światopoglądowych, — Arystotelesa, św. Tomasza, Kartezjusza, Kanta, Hegla, Marksa i innych myślicieli spleta się nierozdzielnie z wstęgą wyniszczających wojen, cofających wstecz pochod ludzkości. Człowiek — mozaika dobra i zła, stop pierwiastków pozytywnych i ujemnych nie da się wtłoczyć w żadne szufladki definicji, pozostanie zawsze sobą — istotą złożoną, skomplikowaną do najwyższych granic, trudną do odgadnięcia.

Kościół dysponuje doskonałym aparatem poznawczym — mówiliśmy już o nim. Zdobyla przy jego pomocy najpewniej niezawodną wiedzę o człowieku. Najpewniejszą bo bezpośrednią. Na niebezpośredniość poznawania człowieka skarżył się w swoich pismach Hipolit Taine — znany filozof francuski, jeden z najwnikliwszych umysłów XIX wieku: „zamiast poznawać ludzi, czujących i działających uczymy się statystyki, studiuje kodeksy, historie, filozofie, literaturę, jednym słowem, mamy tylko wyrazy drukowane, które z każdym wiekiem coraz bardziej oddalają się od doświadczenia, stają się coraz bardziej oderwanymi, coraz trudniejszymi do zrozumienia i coraz dawniejszymi, zwłaszcza jeśli idzie o przedmioty tak złożone jak człowiek i społeczeństwo...“ Człowieka poznajemy nie na podstawie książek i opisów, lecz w jego działaniu, na tle walk, które stacza z trudnościami życia i samą sobą. Poznajemy go także wtedy, gdy zmęczony i skolatany kłeka u krętek konfesjonału, ukazując małość swe-

go życia, słabość woli i wielką — mimo wszystkich pozorów — niezaradność. Nie dziwny się, że spojrzenie każdego niemal starego kapłana ma w sobie dużo wyrozumiałości, życzliwej pobłażliwości, gdy spocznie na człowieku. Ten, kto przez kilkadziesiąt lat leczył w konfesjonale pokolenie ludzkie, wie doskonale, jaką — obiektywnie rzecz biorąc — człowiek wartość przedstawia, rozumie i zna wszystkie niemal błędy i potknięcia jego natury. Zna jego skłonności do dobra i zła, pychę i miłość własną, namiętne dążenie do szczęścia i rozterki serca, tak długo niespokojnego, dopóki nie spocznie w Bogu.

Mimo głębokiej znajomości natury ludzkiej przebacza i — kocha. Bowiem prawdziwa postawa humanistyczno-chrześcijańska pokiej — stary kapłan rzadko potępia; częściej lega na tym, aby, wiedząc o błędach i ułomnościach człowieka kochać go i współczuć mu i widzieć w nim zawsze cząstkę wszechogarniającego rzeczywistości Boga.

Tadeusz Haluch

DLACZEGO CIERPIMY

Wszyscy na świecie cierpią. W ślad za człowiekiem wszędzie kroczy cierpienie, a kędy ono stąpi, zostawia po sobie gorzkie ły. Ze znękaney duszy, ze złamanego serca wyrwywa się nieraz ciężkie westchnienie. I niejednemu wydaje się, że nie ma już dla niego pociechy ni szczęścia. W takich chwilach pojmujemy najlepiej, że ziemia to naprawdę „dolina łez“ i „pałół płaczu“. Jeśli się patrzy na świat powierzchownie, jeśli się widzi tylko to uganianie się za interesami po wioskach i miastach, jeśli się ogląda tylko rozrywki i zabawy, to by się wydawało, że pędzimy życie w środku raju.

Ale kto głębiej spojrzeć potrafi, kto umie czytać w sercu bliźniego, temu przed oczyma stanie cierpienie ludzkie w całej swej grozie. Są wśród cierpiących ludzie, którzy ból swój znoszą z godnością i zrozumieniem, ale są inni, co pod krzyżem cierpienia uginają się i upadają ze zmęczenia. Jedni ze swym krzyżem wspinają się w górę ku niebu, innych drzewo krzyża przytłacza do ziemi. Człowieka poznaje się zaś najlepiej po jego stosunku do cierpienia.

Pod krzyżem ukazuje się w całym swym blasku wielkość charakteru, pod krzyżem objawia się również jego słabość i nędza. Niezależnie jednak od sposobu noszenia krzyża cierpienia ciśnie się na usta każdego człowieka pytanie: „dlaczego dotknęło mnie to cierpienie?“ „Czyżby się nie obezšlo bez niego?“ Dlaczego? O to nieszczęście „dlaczego“, o które rozbiła się już niejedna łódź życiowa. Co to była za straszna godzina w życiu niejednego człowieka, kiedy wydawało się że wszystko szło na opak, kiedy z takim mohołem wybudowane szczęście runęło nagle, jak domek z kart, kiedy przyszłość nieprzenikniona stanęła przed tobą, której ciemności nie rozpraszało żadne światło. Jakżeś wówczas w owych godzinach bólu wołał do Boga o zmiłowanie i ratunek. A jednak nieszczęście przyszło zimne i nieubłagane. Nieba — zdawałoby się nie widzą twego bólu.

He to razy świat zapoznał twoje najlepsze zamiary. Zamiast wdzięczności pojawiły się oszczerstwa, zazdrość i nienawiść do ciebie.

Jakżeś to kłękał przy łóżeczku twojej umierającej dziewczyny. Z nieszczęsnego twego serca wyrwały się jęki o miłosierdzie

i ratunek. A jednak zimna śmierć zgasła to najdroższe dla ciebie życie. I tak kłęka za kłęką, nieszczęście za nieszczęściem znaczyło ślady twego życia, właśnie twego co dobrze i sprawiedliwie żył i tyleś modłowi do Boga swego Stwórcy codziennie zanosił. Tak, to były ciężkie chwile, nietylko dlatego, że krzyż nieznosnym ciężarem przyniósł twoje ramiona, ale jeszcze bardziej może dlatego, że wszystko w twojej duszy burzyło się przeciwko Bogu, bo ci się zdawało że cała twoja religijna budowa przeszłości w jednej chwili stanęła przed tobą jak pusta bezsensowna ruina. Prawda że opierałeś się rozpacz i bluźnierczym myślom, a jednak do serca wciąż ci się cisnęło pytanie: „dlaczego, dlaczego“. „Dlaczego?“ Ach, kóż może odpowiedzieć na to pytanie? Być może że cierpienie twoje jest wynikiem całkiem naturalnych przyczyn, leżących w twoim charakterze w warunkach w jakich żyjesz i pracujesz, w środowisku w jakim się obracasz.

Ale to nie jest zadawająca odpowiedź na owe pytanie „dlaczego“. Na pytanie to można by dać jedną odpowiedź, którą wyryto kiedyś w Szwajcarii na grobowym kamieniu. Widać tam na twardym bloku marmuru wyrzeźbiony szeroki pień dębowy. Pień ten stoi mocno i potężnie, jakgdyby go nic nie było w stanie poruszyć. Ale obok na ziemi leżą połamane konary. U dołu zaś mieści się oto taki krótki napis: „Bóg wie dlaczego“. Pomnik ten postawił pewien samotny człowiek swemu ojcu, któremu śmierć zabrała wszystkich najbliższych, a który z pewnością wołał do Boga ze zbolałej duszy dla nich o ratunek.

Bóg wie dlaczego. To jest jedyna i właściwa zadawająca odpowiedź, którą możemy dać na owe dręczące pytanie. Wszystko inne to tylko zgadywanie i szukanie poomacku. Sami nie pewnego odpowiedzieć nie potrafimy. Zresztą odpowiedź ta nam w zupełności wystarczy. Świadomość że boża ręka kieruje losami człowieka, ręka która potrafi wszystko odwrócić dla jego dobra, musi nam wystarczać. Bo jest przecież rzeczą zrozumiałą że Ten, Który sam pozwolił sobie przybić do krzyża, Który Swą Matkę uczynił królową męczenników, nie dopuszcza cierpień dlatego, żeby nam tylko dokuczyć, ale żeby przez cierpienie nas więcej uidekonalic i uszlachetnic.

Upodobanie w słuchaniu słowa Bożego

Piękna przypowieść Jezusowa stawia nam przed oczy gospodarza siejącego nasienie na roli palestyńskiej. W różne miejsca roli padały ziarna i różne były ich koleje. Te na ścięzce podeptali ludzie lub zjadły ptaki. Na glebie skalistej puściły kielki, ale przedko uschły. Niektóre zaczęły już rość i zostały zaduszone przez chwasty. Większość jednak padła na dobrą glebę i przyniosła owoc stokrotnie.

Ziarnem jest słowo Boże, glebą dusze ludzkie. Słowo Boże w różnej formie przychodzi do człowieka, najczęściej przyjmując ono kształt słowa mówionego czyli kazania. Chrystus Pan odchodząc z ziemi kazał głosić Ewangelię wszystkim ludziom. Kościół katolicki, spełniając polecenie Boskiego Mistrza, nakazuje swym kapłanom, aby w niedzielę i święta głosili kazania.

Ludzie jednak w różny sposób odnoszą się do słowa Bożego. Jedni wcale go nie słuchają, drudzy uszy swe nastawiają na dźwięk słów, aby coś podchwycić, skrytykować, wyśmiać; trzeci zapalają się słowianym ogniem, roztulają się na chwilę i wkrótce o wszystkim zapominają. Inni tak są zajęci bez reszty interesami doczesnymi, że zagłuszają wszelkie wyższe zrywy duszy. Są przecież i tacy, którzy mają upodobanie w słuchaniu słowa Bożego i przynoszą owoc stokrotnie. Każdy z nas chciałby do tej ostatniej grupy należeć.

Wiara jest ze słuchania, a słuchanie przez słowo Chrystusowe — mówił św. Paweł w liście do Rzymian. Wiarę trzeba ustawicznie pogłębiać, a spódkiem do tego najprostszym jest słuchanie słowa Bożego. Jeżeli ktoś nie może przyjmować pokarmu lub też nie zatrzymuje przyjętego, mówi Katechizm rzymski, bliski jest śmierci, podobnie opłakany stan duszy zdradza człowieka, który nie przyjmuje i nie zatrzymuje słowa Bożego.

„Kto z Boga jest, słów Bożych słucha” — powiedział Pan Jezus. Św. Tomasz z Akwinu upodobanie w słuchaniu słowa Bożego nazwał znakiem, świadczącym o tym, że miłujemy Boga. Św. Franciszek Salezy podaje, że Bóg tak słucha słów naszej modlitwy, jak my słuchamy słów Jego nauki.

Donoso Cortes, poseł hiszpański w Paryżu, miał wielkie upodobanie w słowie Bożym, mniejsza o to, czy słyszał je w wielkomińskiej świątyni czy w ubożuchnym kościółku wiejskim. Pewnego razu koledzy zapytali go, jak taki człowiek jak on o tak wybitnym smaku artystycznym i wysokim wykształceniu może chodzić na proste zwykłe kazania. Na to taką dał odpowiedź: „Gdy kapłan mówi kazanie, dostrzegam za nim Boga”.

Tak też powinno być w rzeczywistości. Kto okiem wiary ujmuje sprawę niedzielnego kazania, ten dostrzeże Chrystusa Pana wstępującego na kazalnica — ten z każdego kazania umie wyciągnąć pokarm dla swej własnej duszy.

Nasza postawa wobec słowa Bożego to postawa Samuela: „Mów, Panie, bo słucha sługa Twój”.

Nie wystarczy tylko słuchać słowa Bożego, ale trzeba i wykonywać to, co ono nakazuje. Kazanie wtedy jest dobre, jeżeli szarpie, budzi niepokój, pobudza do postanowienia, powoduje zmianę na lepsze.

Słynny pod koniec ubiegłego stulecia duszpasterz francuski, św. Jan Vianney, był nadzwyczajnym mówcą w świetle słowa wynowy a kazania jego były nadzwyczaj skuteczne. Oto słowa wysokiego

oficera francuskiego na ten temat: „Słyszałem wielu kazań i wielu mówców. Dotychczas podobał mi się mówcy i przemówienia. Dzisiaj ja nie podobam się sam sobie i tu jest zasadnicza różnica”.

EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ STAROZAPUSTNĄ

Mat. 20.

Onego czasu: Mówił Jezus uczniom swoim to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi gospodarzowi, który wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej. A uczyniwszy umowę z robotnikami po groszu za dzień, posłał ich do winnicy swojej. I wyszedłszy około trzeciej godziny, ujrzał drugich stojących na rynku próżnujących. I rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie sprawiedliwym, dam wam. A oni poszli. I znowu wyszedł około szóstej i dziewiątej godziny i tak samo uczynił. A około jedenastej wyszedł, i znalazł innych stojących i rzekł im: Co tu stoicie cały dzień próżnując? Rzekli mu: Iż nas nikt nie najął. Rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej. A gdy wieczór przyszedł, rzekł pan winnicy rządcy swemu: Zawołaj robotników i oddaj im zapłatę poczynawszy od ostatniego aż do pierwszych. Gdy tedy przystąpili, którzy około jedenastej godziny byli przyszli, wzięli po groszu. A przyszedłszy pierwsi, mniemali, że więcej otrzymają, ale wzięli i oni po groszu. A wzięwszy szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę robili: a uczyniliś ich równymi nam, którzyśmy nieśli ciężar dnia i upalenia. A on odpowiadając jednemu z nich, rzekł: Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy! Czyż się ze mną o grosz nie umówiłeś? Weź co twoje jest, a idź: chcę też temu ostatniemu dać, jako i tobie. Czyli mi się nie godzi uczynić, co chcę? czy oko twoje złote jest, iżem ja jest dobry? Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ MIĘSOPUSTNĄ

Luk. 8.

Onego czasu, gdy się wielka rzesza schodziła i z miast garnęli się do Jezusa, rzekł przez podobieństwo. Wyszedł, który sieje, siać nasienie swoje, a gdy siał, jedno upadło koło drogi, i podeptane jest, a ptaki niebieskie podziobały je. A drugie upadło na opokę: a wszedłszy uschło, iż nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie: a społem wszedłszy, ciernie zadusiły je. A inne padło na ziemię dobrą, a wszedłszy, uczyniło owoc stokrotnie. To mówiąc wołał: kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. I pytali Go uczniowie Jego, coby znaczyło to podobieństwo. A On im rzekł: Wam dane jest znać tajemnice królestwa Bożego a innym przez podobieństwo, aby widząc nie widzieli, a słysząc nie rozumieli. Jest tedy to podobieństwo: nasieniem jest słowo Boże. A którzy koło drogi, ci są, którzy słuchają, potem przychodzi diabeł, i wybiera słowo z serca ich, aby uwierzywszy nie byli zbawieni. A którzy na opokę, ci są, co gdy usłyszą, z weselem przyjmują słowo, ale korzenia nie mają, i do czasu wierzają, a w chwili pokusy odstępują. A które padło między ciernie: ci są, którzy usłyszeli, a odszedłszy od trosk i bogactw i rozkoszy życia, bywają zaduszeni, i nie przynoszą owocu. A którzy na ziemię dobrą: ci są, co zachowują słowo i owoc przynoszą w cierpliwości.

Bądźmy i my podatną glebą dla słowa Bożego, miejmy upodobanie w słuchaniu go, a co najważniejsze: bądźmy i gorliwymi jego wykonawcami.

Ks. Musiel Fr.

Przeczytaj i zastanów się

Z encykliki Piusa XI O małżeństwie chrześcijańskim

Nazywamy miłością nie to uczucie, które polega na cielesnej tylko i prędko ulatującej się skłonności, na słowach tylko pochlebnych, lecz to, które opiera się na wewnętrznej skłonności duszy i okazuje się czynem, gdyż próbą miłości jest czyn. Czyn ten obejmuje w społeczności domowej nie tylko wzajemną pomoc, lecz powinien rozciągać się też, i to w pierwszym rzędzie, na to, by małżonkowie pomagali sobie wzajemnie w coraz pełniejszym ukształtowaniu i doskonaleniu człowieka wewnętrznego, by przez wzajemną wspólność życiową postępowali z dnia na dzień coraz bardziej w cnotach, a zwłaszcza rośli w prawdziwej miłości Boga i bliźniego, na której ostatecznie „wszystek zakon zawisł i prorocy”.

Poszukiwanie Boga

(Dokończenie ze str. 17)

Tymczasem kłękamy raczej automatycznie, z rutyny. W ten sposób tracimy nie mało. Bo najpierw klęknięcie jest jednym z sakramentaliów, to znaczy, że wykonane należycie jest okazją łaski aktualnej, zbliża do Boga, sprowadza głębsze poczucie tego miłosnego przyjmowania woli bożej, które symbolicznie wyraża. Celem przeciwstawienia się rutynie dobrze jest powtarzać przy klęknięciu jakieś zdanie, wyrażające poczucie czci i poddania się woli bożej: mogą to być słowa celnika, albo Matki Bożej, albo św. Tomasza Apostoła, albo po prostu: bądź wola Twoja. Klęknięcie umożliwia wymówienie tego zdania sercem, a myślą o Chrystusie w tabernakulum, umożliwia nam modlitwę do Niego. W ten sposób obecność Jego staje się rzeczywistością, aż kiedy poczucie tej obecności ustali się nawet wówczas, gdy będziemy poza kościołem. W ten sposób osiągniemy owo życzenie psalmisty: „Oczy moje zawsze ku Panu”. „Przyjął na siebie człowieczeństwo nasze, aby mógł nas podnieść do swego bóstwa”. W miłosierdziu swym dał nam nawet tak proste środki, abyśmy weszli na drogę wiodącą do wzgórz bożych. Jeśli jesteśmy wierni w małych rzeczach, uczyni nam wielkie rzeczy: „Podniosłem oczy moje ku górą, stamtąd przyjdzie do mnie pomoc” (Ps. 120,1).

DOBRA NA P A R A

Według znanego powiedzenia młodzi poznają się trzy tygodnie, kochają się trzy miesiące, kłócą się trzy lata i „znoszą się” trzydzieści lat.

Autor tego powiedzenia podpatrzył trafnie wiele małżeństw i stwierdza z nieukrywaną goryczą, że w niejednym wypadku dwoje ludzi, którzy się pobrali aby łatwiej przejść przez życie, w rzeczywistości utrudnia sobie je jeszcze bardziej, jeśli już nie powiedzieć że wręcz zatruili.

Mało który krok w życiu jest tak ważny jak wybór współmałżonka — a jakże często podejmuje się te decyzje bez należytego i spokojnego przemyślenia.

Zasadniczo można by sprowadzić wszystkie powody skłaniające do zawarcia małżeństwa do trzech a mianowicie do przymusu, miłości i rozsądku.

Przymus jako właściwy motyw zawarcia małżeństwa należy na wstępie wykluczyć, choćby z tego względu, że związek zawarty pod wpływem ciężkiego strachu napędzonego niesprawiedliwie np. przez rodziców, czyni już z prawa natury małżeństwo nieważnym.

Pozostają więc do rozważenia dwa motywy a mianowicie: miłość i rozsądek.

Mówi się nieraz, że małżeństwa z miłości są najgorsze, nawet w porównaniu z tymi z przymusu. W tym paradoksalnym powiedzeniu mieści się jednak żdźbło prawdy. T. zw. „miłość” można bowiem uważać za pewnego rodzaju chorobę psychiczną, którą zresztą każdy lub prawie każdy człowiek przechodzi bodaj raz w życiu. Określenie miłości jako pewnego rodzaju choroby psychicznej nie jest wcale przesadą, jeśli się zważy, że u zakochanego obserwujemy pewne zaburzenia zarówno w dziedzinie woli i uczucia jak i intelektu, zwłaszcza jeśli chodzi o zdolność do wartościowania.

Człowiek zakochany staje się „ślepy” w stosunku do osoby, którą kocha i nie widzi w niej oczywistych wad, które aż za dobrze zna otoczenie. Gdy zwraca mu się na nie uwagę, nie sposób go przekonać o faktycznym stanie rzeczy. Tworzy on sobie idealny obraz osoby, którą kocha i uważa ją za wcielenie wszelkich doskonałości. Stąd słusznie się powiada, że kiedy miłość wchodzi drzwiami wtedy rozum wychodzi oknem. Dowodów na to twierdzenie mogłaby nam wprost setkami dostarczyć zarówno historia jak i bieżące życie. Pod wpływem „zaśle-

pienia” umysłu woła staje się niemal że zupełnie sparaliżowana w stosunku do osoby, którą się kocha. Ujawnia się to z całą oczywistością w wypadku t. zw. „nieszczęśliwej miłości”. Zakochani widzą wówczas, że nie są dla siebie stworzeni i mimo najszerszych postanowień zerwania ze sobą nie mogą się zdobyć na ten krok, chociaż uświadamiają sobie całą niewłaściwość, niesłabość, a czasem nonsensowność swego postępowania. Napięcie uczuciowe jakie towarzyszy t. zw. zakochaniu się bywa zazwyczaj bardzo silne i powoduje niedające się ukryć białawy jak np. gwałtowne rumienienie się, bicie serca itp.

Jeśli się weźmie pod uwagę te wszystkie objawy to należy jednak przyznać, że zakochanie się w drugiej osobie nosi pewne znamiona schorzenia psychicznego.

Człowiek w takim stanie podejmuje lekkomyślną decyzję zapominając o głębokiej uwadze powieściopisarza Tadeusza Dołęgi-Mostowicza: „Istnieją na świecie trzy rzeczy wieczne pióro i wieczna miłość, a z tych trzech rzeczy najbardziej wieczną jest wieczne pióro”.

Niestety tak nieraz bywa...

Kościół katolicki stoi na stanowisku, że zasadniczym motywem zawarcia małżeństwa winna być miłość jak o tym świadczą chociażby słowa przysięgi: „...i przysięgam ci miłość, wierność...” Jednakże miłości tej musi towarzyszyć rozsądek w przeciwnym razie można zmarnować życie i sobie i drugiej osobie.

Istnieją pewne czynniki, które warunkują szczęśliwy dobór młodych ludzi i dopiero jeśli dołączy się do tego miłość można mówić o t. zw. dobranym szczęśliwym małżeństwie.

Na pierwszym miejscu należałoby wymienić wiek przyszłych małżonków. Ponieważ kobieta dojrzewa prędzej niż mężczyzna, a co zatem idzie i prędzej się starzeje, stąd jest rzeczą pożądaną aby narzeczony był o parę lat starszy od narzeczonej. Biorąc rzecz teoretycznie różnica ta powinna wynosić około 5 lat. Dopuszczalną jest rzeczą aby on był starszy od niej nawet i dziesięć lat, natomiast większa różnica wieku może fatalnie zaciążyć na późniejszym pożyciu małżeńskim.

Obecnie obserwuje się sporo małżeństw gdzie żona jest starsza od męża. Może ma to pewien związek z postępującą emancypacją kobiety. Różnica ta jeśli jest zbyt wielka odbija się zwykle niekorzystnie na pożyciu małżeńskim w jeszcze większym stopniu niż w sytuacji przedstawionej powyżej.

Innym czynnikiem, na który należy zwrócić również uwagę jeśli chodzi o właściwy dobór małżonków jest odpowiednie ich wykształcenie. Pożycie małżeńskie będzie bardziej harmonijne im lepiej małżonkowie się rozumieją i im łatwiej potrafią znaleźć t. zw. wspólny język.

Wprawdzie zakochani potrafią rozmawiać godzinami o „niczym”, ale stan ten nie może trwać latami. Ostatecznie trzeba wreszcie zacząć rozmawiać o „czymś”. Zbyt wielka różnica w wykształceniu np. z jednej strony ukończenie szkoły podstawowej, a z drugiej szkoły średniej czy też wyższej powoduje, że małżonkowie nie mogą często znaleźć owego wspólnego języka, co do wielu problemów nie mogą się porozumieć. Zdarzają się wypadki, że jedno zaczyna się wstydić drugiego wobec krewnych i znajo-

mych co powoduje skolei robienie sobie gorzkich wymówek, rozgoryczenie i obojętność duchową.

Wśród innych czynników warunkujących harmonijne pożycie małżeńskie należało by jeszcze wymienić odpowiednie warunki finansowe. Byłoby lekkomyślnością zakładać rodzinę nie mając odpowiednich środków do utrzymania jej. Dzisiaj sytuacja jest pod tym względem tym łatwiejsza, że często żona też pracuje i tak wspólnie jakoś dają sobie radę.

W okresie narzeczeństwa młodzi usiłują okazać się wzajemnie sobie z jak najlepszej strony. Dopiero po ślubie ujawniają się pewne rażące wady, ale niestety kłamka już zapadła i nie sposób cofnąć się z drogi, na którą się raz wkroczyło.

Przed ślubem pytają się zwykle narzeczoną o przeszłość, a narzeczonego o przyszłość. Należało by jednak zainteresować się i przeszłością narzeczonego. Są dwa nałogi, które fatalnie wpływają na pożycie małżeńskie, a mianowicie alkoholizm i karcjarstwo. Rządzą kiedy małżeństwo zmieni zupełnie nałogowego alkoholika i karcjarza. Natura ciągnie wilka do lasu — jak powiada przysłowie. — Nie nie pomogą rozpaczliwe zaklęcia młodej żony, która zapóźno spostrzegła swą tragiczną omyłkę.

I tak oto kielich szczęścia wysuwa się z zdrtwiałej dłoni i ze złowróżebnym szczękiem toczy się do stóp. Kwiaty marzeń więdną, gwiazdy nadziei gasną, duszę zalega mrok... Miłość, która tak niedawno się narodziła — kona...

* * *

Obecne warunki na świecie bardziej sprzyjają kojarzeniu się małżeństw na podstawie wzajemnej miłości, niż jeszcze nawet kilkadziesiąt lat temu.

Przed wszystkim coraz rzadziej wchodzi w grę kwestia posagu, który częstokroć odgrywał decydującą rolę. Młody, a często i stary mężczyzna brał przede wszystkim posag, a żona była tylko „dodatkiem”. Było to i jest upokarzające i upadające.

Pozostałością takiego pojmowania małżeństwa są t. zw. ogłoszenia matrymonialne. Oto miłość reklamuje się tam bez skrupułów jak wszelki inny towar. Autor czy też autorka każdego takiego ogłoszenia prócz cynicznego zachwalania swoich „artykułów” wskazuje dokładnie na cenę, za którą się sprzedaje lub kupuje „towa” zwany „towarzystwem” lub „towarzystwą życia”.

Następnie rodzice wywierali częstokroć przemożny wpływ na dzieci, zwłaszcza na córki zmuszając je do poślubienia niekochanego, ale wybranego i aprobowanego przez nich mężczyznę. Pod tym względem coraz większe usamodzielnienie się kobiety dało jej możliwość decydowania o wyborze męża i „pertraktowania” z nim jako równy z równym. Zjawisko to, które obserwujemy obecnie w całym cywilizowanym świecie należy traktować jako zdobycz nawskroś pozytywną.

Tak więc miłość po zostanie ostatecznym i najważniejszym elementem dobrego małżeństwa — miłość nie ślepa, lecz rozsądna, miłość nie tylko ciała, ale i duszy, miłość oparta na wzajemnym i głębokim zaufaniu i szacunku. Tylko taka miłość może być trwała.

A. B.



Młoda para powracająca z kościoła, została swycham wielkopolskim zatrzymana przez dzieci w drodze do domu. Dzieci składają życzenia i za to otrzymują datki

Zdobywca Genewy

Niewesołe miał myśli pan zamku Sales, gdy stojąc w oknie swej komnaty, spoglądał tępo na cudny alpejski krajobraz. Czoło mu się zmarszczyło w zadumie, a ręka targała krótko przyszytą, siwiejącą już brodę. W rysach, jakby z kamienia wykutych, krzepło jakieś postanowienie.

— Nie! Dłużej zwlekać nie będę. To musi rozstrzygnąć się dziś.

Klaskał w dłonie. W drzwiach stanął pacholik.

— Gdy pan Franciszek przyjedzie — rzekł doń rycerz — zaraz przywiedziesz go do mnie, zanim zdąży wstąpić do matki.

Po wyjściu pacholika znów oddał się myślom. Gotował się do rozmowy, od której zależał miała przyszłość rodu de Sales. Niełatwo było ją zacząć, bo syn wyraźnie, od czasu powrotu z Padwy — wymykał mu się z rąk. Nie po to wysyłał go rycerz na studia prawa do pierwszych uniwersytetów Europy, nie po to przydał mu mentora, który czuwał nad jego życiem w dalekich miastach, by teraz Franciszek porzucił miał pełne sławy, rycerskie dziedzictwo rodu. Cóż z tego, że młody doktor praw adwokatem został przy najwyższym trybunale Sabaudii! Sztuka wymowy i prawo dobre są po to, by popierały miecz, ale same bez miecza nie znaczą. Ród de Sales — zaprawiony w wojnach religijnych, jakie od pół wieku toczyły się we Francji — powołany jest do tego, by bronić kraju przed zarazą kalwińską, która opanowała Genewę, dawniej księciu Sabaudii podległą — wdzierając się do górskich osiedli. Młody Franciszek de Sales musi iść rycerskim śladem ojców i utrzymać tradycję rodu. Dziś jeszcze pojedą we dwóch na zamek panów de La Roche, którzy są Franciszkowi radzi, by się o piękną pannę Małgorzatę po-

kłonić i zrekowiny obyczajem rycerskim wyprawić. Nie wątpił pan zamku Sales, że panna de La Roche będzie najlepszym lekarstwem na nierycerskie mrzonki jego syna.

Ale Franciszek, którego oczekiwano w pośpiechu, przybył dopiero wieczorem. Wprowadzony niezwłocznie do ojca, zasypywany został ostrymi wymówkami.

— Nie mogłem zdążyć wcześniej — tłumaczył się młody adwokat. — Wracam z Annecy. Tamtejsza kapituła wybrała mnie kanonikiem katedry.

Wieża ta spadła na starego rycerza tak niespodziewanie, że zamknęła mu usta. Cała z góry obmyślana rozmowa nie mogła już odbyć się według planu. Trzeba było teraz zacząć z innej beczki. Godność kanonika nadawano w tych czasach także ludziom świeckim, których usługi dla Kościoła były cenne. Łączyło się z nią beneficjum w postaci ziemskich dóbr dożywotnio nadanych. Stąd też pan de Sales uznał wieść za pomyślną, widząc w nowym nabytku wzmocnienie potęgi rodu i zaszczyt niemały.

— Jakże dobra na beneficjum otrzymasz? — zapytał syna rzeczowo.

— Nie wiem. Nie pytałem o to! — odparł Franciszek.

— Nie py-ta-leś? Nie byłś ciekawy? Przecież to dla nas bardzo ważna sprawa!

— Ojcie, jest jeszcze ważniejsza! Nie beneficjum widzę w tym wyborze, lecz Rękę Bożą, która wskazuje mi drogę. Od dawna już czuję powołanie do kapłańskiego stanu. Jeśli się dotąd wahałem, to jedynie po to, by doświadczyć samego siebie. Lecz teraz postanowienie moje dojrzało. Nie chcę być kanonikiem, który nie ma święceń kapłańskich.

Stary pan de Sales porwał się na te słowa, które burzyły wszystkie jego plany. Żył

nabrzmiały mu na skroniach, a twarz zeszławiła z gniewu.

— Głupece! — wybuchnął. — Możesz przyjąć beneficjum, w stanie rycerskim zostając. Jeśli tu jest Ręka Boża, to nie taka, jak tobie się zdaje. Jesteś nadzieją Salezów, bo bronią Sabaudii przed genewską zarazą. Bóg daje ci beneficjum, byśmy się wzmogli do walki o naszą, jaką z Genewą nas czeka. Kalwińskie błędy zwyciężą, jeśli Salezów nie staniesz!

Po szlachetnej twarzy Franciszka, nikłym pokrytej zarostem, przebiegł płomień. Oczy jego zatliły się blaskiem.

— Pozwól, ojcze drogi — zaczął — że myśl ci swoją wyłożę. Nauki Kalwina mierzem nie zwalczyć, bo miecz nie rozstrzyga spraw wiary. Jakoż ma się kalwinizm wśród ludu prostego nie szerzyć, skoro nikt go z naszej strony światłem wiary nie oświeca? Teodor de Beze wie, co robi, gdy swoich kaznodziejów na południe od Lemanu wysyła. Cała kraina Chablais od Kościoła rzymskiego odpadła, bo szlachta sabaudzka tylko mieczami brzękała, zapominając o tym, że co kaznodzieja kalwiński podbił, to tylko nasz kaznodzieja odzyskać może.

— To jest szaleństwo! Hugonoci są fanatykami. Zamordują każdego kapłana, jaki wśród nich się pojawi. Musiałby z wojskiem iść, które by jego osoby broniło.

— A ja, ojcze, pójdę bez wojska! Ode wiośki do wioski przejdę całe Chablais. Będę nauczał w dolinach i w górskich szlachech. Hugonoci stosują terror. Ja uczyć będę życia bez terroru.

— Ty? sam?

— Póki innych nie porwę przykładem — to sam. Pan Bóg mi dopomoże.

— Bóg nie pomaga szaleńcom, co sami śmierci szukają. Sam nic nie zrobisz, a na czele potęgi rodowej, wspartej siłami pa-

Jan Czerepacha.

Karnawał - Karnawał

Hej, podrygują nogi mnie staremu do tańca, gdy słyszę o karnawale. Poszłoby się jeszcze, o poszło w oberka czy mazur... Ale cóż, same chęci to mało. Żeby to nie te lata, nie reumatyzm i podagra w nogach, a w dodatku artretyzm w kolanach, mógłbym jednak za pozwoleniem swojej Petroneli i był spróbować. Ale tak jak jest to tylko na wspominkach poprzestać należy.

Inna sprawa, siostrzeniczka mówi mi, że i takbym się na dzisiejszej zabawie wiele nie przydał. Kto to tam teraz oberki czy mazury tańczy. Inne tańce jeno dzisiał w modzie. Tanga, slowfoksy, walce angielskie, albo wreszcie boogie-woogie...

Splunąłem wtedy tylko ze złością.

— Zgiń, przepadnij ty ze swoimi bugami wogami czy tak tam...

A to dlatego, że widziałem nie dawno, zeszłego roku, te tańce. Zaprosili mnie na wesele. Poznałem z Petronelą. Jedenie było dobre, i owszem, mowy mojej też młodzi i goście w skupieniu wysłuchali. A użyłem tam sobie w niej co się zowie, lepiej jeszcze jak ksiądz dobrodziej z ambony. Dopiero jak te tańce przyszły. Skaranie Bóże z takimi pomysłami. Ani to ładne, ani dla ucha przyjemne. A już patrzeć to zgola hadko...

Ot, takie tango na ten przykład, jakiś zagraniczny wymysł, jakby to własnych tańców w Polsce nie było. Stucham, muzyczka gra, wolno jakoś, mocno nie do taktu, co raz

to zapiszczy, zaciągnie falsetem jak zarzynane prosię. Pary tańczą. Ale jak! Obląpiwszy się ciasno w pół, suwają tymi girami, jak lunatycy na spacerze po dachu w noc księżycową. Co raz to on wygibnie biodrem gdzieś w bok, ona przechyla się, jakby mdlejącą lania, potem znów drobnym kroczkiem zasuwa ją gdzieś w bok. Tfu, i wspominać nie chce się. Ani to ładne, ani dla oka przyjemne, ani też obyczajne.

Potem znów były slowfoksy i fokstrotty. Te trochę szybsze, więcej do tańca podobne, ale także powygibane, pokrzące co nieco. Także nie podobały mi się.

Ten walc angielski to chyba tylko dlatego się tańczy, że angielski. To już u nas zawsze taka moda, co z zagranicy, a szczególnie z Anglii, zaraz i naśladować, choćby największą głupotą. W tym walcu też patrzeć nie było na co!

Dotąd cierpiałem. Ale już jak zaczęli mierzwić muzykanci to całe boogie-woogie, ścierpieć więcej nie mogłem. Jakby kupa epileptyków na sali się zebrała, albo jakby ich wszy oblażyły. Jak ci zaczęli ramionami potrząsać, a nogami zawiązać, przebiegać w wariackich podrygach, myślałem już po gotowie telefonować, do szpitala odsyłać. A jeszcze pokrzykiwali przytem takimi głosami, że myślałem, iż poupijali się kędyś w kącie pokryjomu — bo dom był porządkowy, prócz wina i młodu napitków innych nie było.

Otóż patrzyłem na to boogie-woogie (tfu, język można złamać przy samej wymowie tylko!), aż wreszcie poderwało mnie z miejsca. Skoczyłem na środek sali, zamachałem ci rękami do muzykantów, żeby grać przestali i wyciąłem tego dnia drugie już przemówienie. Ale tym razem już ja tym młodym tancerzom czadu dałem! Powiedziałem, że pewnie zapomnieli już, kim są i w jakim kraju przebywają.

— Dwie godziny — mówię im — patrzcie już na wasze łamańce. Co jeden to lepszy od drugiego. Czekam na polskie tańce — nie ma ani jednego. Tylko zagraniczne! No, ale tych ostatnich waszych wariackich podrygów to już wogóle oglądać nie mogłem. Jak świat światem takich bzdurow na porządku tańcówkach nie było. Sam nie chwalać się, przetańczyłem nie mało. Ale porządku tańców. Polka, walczek, mazur, oberek, kujawiak — tyle tych naszych pięknych narodowych tańców mamy. Czy już ich nawet wogóle nie znacie? A wstyd, a hańba, a srom dla moich starych oczu Czerepachy, że takie bezczesztwa widzę! Ja wam tu potańczę boogie-woogie A do oberka, psiawiary!! A do porządku tańca. Żeby aż chata drżała, a w sercu rosła ochota! Już.

Patrzyli początkowo zdumieni, żli, ale potem, jak ci orkiestra wycięła im ober-tasa, poszli w tan. Dopiero to się im geby, na kważno w tych tangaach skrzywione, rozochocili, oczy zabłyśły, ciała nabrały dzia-kości.

de La Roche, mógłbyś uwolnić Chablais od terroru agentów Genewy. Panna Małgorzata de La Roche pokochała ci dobrą siostrę i matkę przyszłych pokoleń Salezyców! Zali i ją odrzucają?

— Miałeś bym odrzucić kapłaństwo? Nie, sjęci! Już się nie cofnę. Podejmę walkę bez przelewu krwi. Więcej w kapłaństwie uczynię, niż legion krwawych rycerzy.

Stary pan opadł na zydeł i przez chwilę dyszał ciężko. Przegrał pojedynek słowny z synem. Czuł się wobec niego bezsilnym. Zrozumiał, że Franciszek nigdy nie będzie rycerzem ani mężem panny de La Roche. Chciał tylko jeszcze zmniejszyć rozmiary swej kłeski i kłeski rodu de Sales.

— Jeśli chcesz być kapłanem — rzekł innym, nutę rozpaczliwego zdradzającego tonem — więcej dokonasz zdołaś, jeśli sam stolicę biskupią zdobędziesz. Jako biskup wstęp znajdziesz na dwór królewski w Paryżu. Niech dowie się cała Francja, że jesteś z rodu de Sales!

Franciszek uśmiechnął się blade. Nie chciał wrogo rozejść się z ojcem, którego kochał szczerze, choć nie mógł już znaleźć wspólnego z nim języka.

— Jeśli mnie Pan Bóg — rzekł prawie wesoło — do mitry biskupiej przeznaczy, chciałbym stolicę swoją mieć tylko w kalwiskiej Genewie.

Ciężkie były początki młodego kapłana, który w listopadzie 1593 roku odprawił w Annecy prymicje. Towarzysze, z którymi wybrał się do krainy Chablais, pierzchli przy pierwszym odwiecie hugenotów. Książe Sabaudii, który miał finansować tę misję, nie dotrzymał swych przyrzeczeń. Franciszek został sam. Przez cztery lata przebiegał przesmyki górskie i zapuszczał się w doliny, nie unikając spotkań z kaznodziejami z Genewy, których na niezliczone dysputy publiczne wzywał. Fanatyczni wyznawcy Kalwina nie mogli sprostać jego argumentom ani sile wymowy, toteż czynili zasadzki na jego życie. Ileż to nocy spędził Franciszek w stogu słania, w szałasie, lub ukryty w piecu chlebowym! Ileż razy w zi-

mie napadnięty przez wilki wdrapował się na jodłę, by noc na niej przepędzić! Ale od wilków gorsi byli ludzie. Hugenoci palili domy tym, którzy dali mu schronienie, dlatego Franciszek znajdował często zamknięte drzwi przyjaciół, którzy w przeddzień jeszcze przyjmowali go gościnnie. Byłby niechybnie z głodu padł, gdyby nie troskliwość matki, która skrycie przed zagniewanym ojcem posyłała mu na umówione miejsce żywność i odzież.

Te cztery lata w kraju okupowanym przez hugenotów były dla Franciszka wszechstronną szkołą. Zrozumiał, że bez wkrócenia autorytetu króla Francji gwałty kalwiskie w Chablais nie ustają i że wszelkie jego wysiłki w celu odzyskania tej ziemi dla Kościoła będą daremne. Lecz mimo wszystko nie chciał dopuścić do przelewu krwi, który kiedyś doradzał mu ojciec.

Udał się więc do Paryża. Był to czas postu i pokuty. W kościołach wygłaszano kazania pasyjne. Franciszek de Sales powiększył grono kaznodziejów i tak zasłynął swą porwijącą wymową, że ściągnął na swoje kazania także króla-konwertytę Henryka IV. Po jednym z tych kazań otrzymał wezwanie do Luwru.

Bibliotekarz królewski do Thou wprowadził Franciszka do gabinetu monarchy. — Henryk IV przyjął go w obecności posła papieskiego, który pośredniczył w rokowaniach z Filipem II hiszpańskim. Król eks-hugenota, który doszedł do wniosku, że „Paryż wart jest mszy“, starał się przy każdej sposobności demonstrować, jak bardzo szczerzy jest katolikiem. Stąd też zwrócił się do Franciszka łaskawie:

— Słyszeliśmy wasze kazania, l'abbé! Chcielibyśmy takiego kaznodzieję na stałe związać z Paryżem. Jesteśmy zdecydowani zapewnić wam dobrą prebendę. Prócz tego droga do godności kościelnych stanie tu dla was otworem.

— Nie dla godności przybyłem do Paryża, Sire! — rzekł śmiało królowi Franciszek. — Nie opuszczę nieszczęsnego Chablais, które do dziś pod terrorem hugenotów genewskich jęczy i do ciebie, Sire, o ratunek woła. —

Wilkoński, szlachcic majątny, przejeżdżał koniami przez naszą wioskę. Zimno było, więc tedy zlaźł z konia przed oberżą i wstąpił, aby czym gorącym przekąsić. A w oberży szła na całego nasza chłopska zabawa. Muzykant z harmonią był co prawda słaby, nie bardzo tam wygrywał. Ale jakoś się bawiło. Grunt, że ochota w sercach była... Otóż pogryzał ten Wilkoński bigosem, zapijał herbatą i patrzył na naszą zabawę. A muzykalny był bestia. Nie w smak mu było granie muzykanta. Nie ścierpiał długo, podkoczył do niego i ze słowami: — Ja ci kpie, pokaże, jak grać trzeba! — sam zaczął wygrywać. Chłopy się popatrzyli na niego — i do tańca! A grał dobrze.

Przegrał do jednego tańca, do drugiego, chciał oddać instrument. Ale wszyscy wołali dawać prosić, żeby jeszcze pograł co nieco. Chcąc, nie chcąc, zgodził się. Potem jednak już stanowczo odmawiał. Cóż, kiedy naszym chłopom spodobało się jego granie. On chce przestać, a oni z pięścią pod nos — „Graj, panku, bo ci kości połamiam“. Cóż miał robić, grał. Grał tak aż do samego rana. Wtedy go dopiero, zmordowanego dośzczętnie, w dalszą drogę puszczili. Naszą wioskę to później na trzy mile wkół objeżdżał...

No, ale wracając do tego karnawału. Dużo byłbym wam opowiedział, tylko że się boję, iż ksiądz redaktor znów na mnie pieprzu, powie — „za dużo, stary, gawędzisz“. To już tylko po krótkości opowiem jeszcze co i nieco.

Karnawał, rzecz przyjemna, ludziom miła. Tylko, że i w nim, jak we wszystkim, trzeba mieć umiarkowanie. Zabawa, rzecz niezdrowa. Ale w niej nie można zapominać i o swych codziennych obowiązkach. A za-

Książe Sabaudii nie jest zdolny postać tych niehumanitarnych gwałtów, które sprawcom uchodzą bezkarnie. Przybyłem tu poruszyć sumienia doradców twoich, Sire, w chwili, gdy na całą ziemię francuską wraca pokój pod twymi rządami. Chablais jest także częścią francuskiej korony i nie może być okupowane przez zbuntowaną Genewę. Przywróć prawo w Chablais, a kraj ten wróci do Francji i Kościoła.

Król nieraż był tej odpowiedzi, choć trafiała ona w jego czułą stronę. Nierad był zważać, że słyszał to posel papieski. Nie mógł zrozumieć księżyny, który wołał ubogie Chablais od „tłustej“ prebendy w Paryżu. W momencie zakończenia wojny z Hiszpanią i pacyfikacji wewnętrznej Francji nie życzył sobie Henryk konfliktu ze związkiem szwajcarskim, do którego przystąpiła Genewa, ani z hugenotami, dla których przygotowywał już edykt tolerancyjny. Ale posel papieski poparł Franciszka de Sales.

Henryk kreślił przez chwilę w zamyśleniu wąż i gładził brodę — patrząc w okno, za którym płynęła Sekwana — ale że był dyplomatą bystrym i zręcznym, rychło znalazł wyjście. Wezwał swego pierwszego ministra markiza de Rosny, i polecił mu wygotować pismo do biskupa i kapituły w Annecy.

— Wskażcie im — rzekł — iż jest życzeniem naszym, by l'abbé Francois de Sales wybrany został koadiutorem diecezji w Annecy. My ze swojej strony wyposażymy go na rok we władzę wykonawczą królewskiego komisarza, aby spokój i ład w krainie Chablais utwierdził.

Posel papieski przytaknął decyzji z uznaniem.

Kiedy bibliotekarz de Thou wyprowadzał Franciszka z komnat królewskich w Luwrze, 30-letni kandydat na koadiutora widział już przed sobą drogę otwartą nie tylko do stolicy biskupiej w Annecy, lecz i do samej Genewy. Czuł w sobie dość zapachu i siły, by objąć z czasem przewodnictwo w odrodzeniu życia katolickiego w całej środkowo-wschodniej Francji.

rzają się takie panny i tacy kawalerowie, co to przez karnawał noc w noc hulają, tańczą do upadłego. A potem i robota na tym cierpi i zdrowie szwankuje.

Karnawał, to też znowu nie jest okazja do picia wódki, jak to niektórzy durnie jeszcze myślą. Przyjdzie ci taki na zabawę i zaraz urnie się w bufecie. A jak w bufecie wódki nie ma, to i z sobą w kieszeni przynieść potrafisz. A potem łazi jak małpa, do człowieka nie podobna, łązi na czworakach i innym zabawę obrydza.

Wszystko zawsze wymaga taktu i umiaru. Także i zabawa. To nie będzie dobra zabawa, jeśli na ten przykład ktoś w sobotę tańczy do rana, a potem w niedzielę śpi do późnego południa i do kościoła na Msze św. nie idzie — „bo on taki zmęczony...“ A ktoś ci kazał, psiawiario, tak długo tańcować? Jeżeli miałeś siły na zabawę, to musisz mieć tym bardziej i poczucie obowiązku katolickiego. Zabawa jest nie po to, abyś potem swe obowiązki zaniedbywał. Na nie zawsze musi być czas i miejsce.

Jak zawsze musiałem skończyć reprimendą. Ale to już taki przywilej starości. Dużo widział, wiele słyszał, umie z tego wszystkiego wnioski wyciągać, więc i dzień się z nimi z młodymi.

Ale już kończę na wesoło. Bawcie się młodzi, całą duszą i sercem. Tańczcie, tylko że nasze, narodowe tańce. I pamiętajcie, żeby zawsze zabawa wasza była Bogu i ludziom miła.

A teraz — „Do tańca, młodzi!“ Muzyka już przegrywa! Oj, dana, dana, moja dana! I moje nogi podskakują. Młodość się tam przypomniała, psiajuchom!...

Jan Czerwinski

A potem polka, a potem krakowiak, kujawiak, mazur i znów oberek. Walczyków wirowych, ale na tempo, też kilka. Zabawa szła na całego!

A już pod koniec to sami przyszli do starego, żeby im pokazać, jak się poloneza wodzi. Bo oni nie znają, a wiele o tym pięknym tańcu słyszeli, i Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ o tym tak pięknie pisał.

Aż im izy w oczach z radości stanęły. Pokazałem im, a jakże! Dziękowali mi potem i za poloneza, i za to, że ich do własnych narodowych tańców nakłoniłem, a nie tam jakichś koślawych mantyk zagranicznych.

Tak, tak, warto byłoby aby nasza młodzież pamiętała o tańcach narodowych, polskich, takich pięknych, a odeszła od tych różnych boogie-woogie, rumb, lambeth-wooków i tak dalej. Wstyd przecie. A i niebezpiecznie. Opowiadali mi na przykład, że przy tym ostatnim łamańcu, gdzie to sobie partnerzy rogi na wzajem na głowie pokazują, po kolanach się walą i palce przed siebie wyciągają — otóż przy takim łamańcu jedna danczka partnerowi oko wybiła wystraszonym, wymanikurowanym za zielono paznokciem! Widział to kto, żeby w tańcu sobie oczy wybiłać. Tego za moich lat nie bywało!

A bawiono się i wtedy hucznie. Oho! Wiele to człowiek zabaw i karnawałów pamiętał! Choćby i w mojej wiosce rodzinnej pod Szamotulami. Nawet w literaturze co nieco z tego pozostało. Ot, choćby Wilkoński w swoich „Ramekach i ramotkach“ wspomina o swojej przegrodzie w naszej wiosce. Opowiada wam, że śmieszna...

Śpiew liturgii kościelnej

Na temat śpiewu kościelnego i częściowo liturgicznego pisałem w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Katolickiego”. Jest to temat bardzo aktualny w życiu Kościoła św., omawiany na różnych zjazdach i konferencjach duszpasterskich. Wiemy wszyscy o tym dobrze, czym jest śpiew w naszych kościołach, a zwłaszcza śpiew liturgiczny na naszych nabożeństwach niedzielnych i świątecznych.

Warto więc przypomnieć zalecenia Stolicy Świętej. Dom Boży (kościół) powinien być przybytkiem prawdziwej sztuki, która w służbie Bożej spełnia najszczytniejsze swoje zadania i sama się przez to uszlachetnia. Wskazania papieża idą w dwóch kierunkach: usunięcia wszystkiego, co nie licuje się z Majestatem Boga i świętością liturgii, i wytworzenia żywej zbiorowej akcji, owianej duchem liturgii przez „czynny udział wiernych w Misterium Eucharystycznym i uroczystych publicznych modłach Kościoła.

W encyklice „Quas primas” Pius XI podkreśla, że wierni muszą przestać być obcymi i niemymi widzami nabożeństw kościelnych, „ale przejęci na wskroś piękną liturgią, powinni brać czynny udział w świętych obrzędach, pochodach i procesjach”. Muszą powrócić te czasy kiedy to „wszyscy wierni w danej miejscowości tworzyli w kościele jeden wielki chór śpiewający na przemian z duchowieństwem i Biskupem”.

Ojciec święty daje szereg praktycznych wskazówek, mających przyspieszyć zrealizowanie tego ideału, między którymi stawia zasadę uczenia śpiewu od samego zarania.

Jednym z głównych zadań obecnego ruchu liturgicznego jest wykonanie punktu Konstytucji Apostolskiej (z dnia 20 grudnia 1928 r.): „Bezwzględnie jest rzeczą konieczną, by wierni byli nie tylko obecnymi, niemymi widzami, ale, aby w świętych ceremoniach żywy brali udział...”

Kler świecki i zakonny z biskupami i ordynariuszami na czele ma dołożyć starań, by sam lub z pomocą fachowców wprowadził dla wiernych naukę śpiewu liturgicznego, jako części całej nauki chrześcijańskiej.

Te wskazania Stolicy Świętej są zgodne z tradycją Kościoła, który — poczynawszy od św. Pawła — zwraca się do wszystkich chrześcijan, by śpiewali w czasie świętych ceremonii. Święty Paweł pisząc do Efezjan i Kolosan, zachęcał ich, by śpiewali wspólnie psalmy, hymny i pieśni pobożne (Ef. V. 19. Kol. III, 16). Zwracając ich uwagę na wewnętrzne znaczenie tych artystycznych objawów, pisał: „Śpiewajcie w sercach waszych in cordibus vestris psallentes”, albowiem zadaniem śpiewu na zebraniach chrześcijan jest zrealizowanie wspólnej modlitwy uwielbienia i dziękczynienia.

Piękna pieśń liturgiczna ma bardzo wielkie znaczenie i wprost cuda czyni. Widzimy to na przykładzie św. Augustyna. Nawracał się on pod wpływem hymnów i pieśni, słodko rozbrzmiewających w kościele, „których melodie wpływały do uszu, a prawda rozlewała się w sercu”. (Wyznania X, 6). Św. Ambroży upatruje w śpiewie zbiorowym „vinculum unitatis”.

Taki idealny stan współudziału wiernych w nabożeństwach liturgicznych Kościoła nie może pozostać tylko marzeniem, lecz może i powinien wszędzie stawać się faktem jeżeli praca nad osiągnięciem go będzie stała, stopniowo-systematyczna i wytrwała.

Wielki liturgiczny polski — miłośnik śpiewu kościelnego — śp. O. Woraniecki, pisał: „nic tak ie uczy modlić się, jak Msza św. pięknie liturgicznie odśpiewana. Tego nie nauczą ani prywatna modlitwa myślna, ani różne tak piękne nabożeństwa popularne, jak na przykład Różaniec Święty albo Droga Krzyżowa. Nic lepiej nie nauczy wiernych chwalić Boga, jak czynny udział we Mszy św. śpiewanej” (doniosłość wychowawcza liturgii).

Jak nawet ludzie świeccy, znający się na prawdziwej poezji, umiemy cenić piękno pieśni kościelnych, widzimy na przykładzie prof. literatury Stanisława Windakiewicza, który w swej przedmowie do przekładu

hymnów liturgicznych tak pisze: „Dla wielu są one najwyższą poezją, bo życie religijne najwyżej stawiają. Poezja hymnów jest dytyrambiczną i wzruszeniową; wyraża uczucia zbiorowe i tajne wystąpienia duszy, rozradowanej bliskością Boga; przenika ją nastroj wesela świątecznego; tkwi w niej wiele pierwiastka myślowego a raczej dogmatycznego, który dziwnie kojarzy się z rzewnością i namaszczeniem. W pieśniach tych słysząc muzykę dzwonów, melodie organów i szepot rozmodlonych ust; czuć kwiaty ołtarzowe, dym kadzideł i wosk jarzących świec. Wszystko co dusza mogła wymyślić najwspanialszego dla wypowiedzenia swego hołdu Bogu, znalazło wyraz w tych hutworach zrodzonych w uczuciu głębokiej czci i wdzięczności.”

Należy zwrócić wielką uwagę na udział śpiewu polskiego w naszych nabożeństwach kościelnych. Przepiękne stare polskie pieśni kościelne, kompozycje ludowe i mistrzów natchnionych (np. Gomółki, Moniuszki) mają swą chlubną kartę w liturgii katolickiej. Możemy tylko żałować, że nieraz są one w zaniedbaniu i że inteligencja nasza biorąc udział w nabożeństwach i modląc się gorliwie, tak mało nieraz przykłada wagi do śpiewów zbiorowych wraz z ludem polskim.

Doceniamy więc wszyscy wartość i piękność wspólnego śpiewu polskiego i liturgicznego w kościołach naszych, który podnosi dusze nasze ku Bogu. Pieśń bowiem kościelna umoralnia nas także, stawiając nas w rzędzie istot wyższych.

Pielęgnujmy śpiew religijny w domach naszych. Uczmy dzieci śpiewów kościelnych, by i one wspólnie ze starszymi brały udział w śpiewie pieśni kościelnych w czasie nabożeństw. Pamiętajmy, że dzieci lubią śpiewać i wiele dobrego można zrobić z nimi w tym kierunku. A kiedy dzieci za młodo nauczą się dobrze śpiewać, będą śpiewać w wieku starszym, a przez to pieśń kościelna i liturgiczna spełni swoje zadania w wspólnej modlitwie liturgicznej w naszych świątyniach katolickich.

Marian Jamrozik

Nowy Rok Święty

Bullą Per sacrum annum z 26 grudnia 1950 r. zarządził Ojciec święty Rok Święty na cały świat poza Rzymem na rok 1951. Zaczyna się on 1 stycznia, a zakończy się 31. XII 1951 r. Można w ciągu tego nowego Roku Świętego uzyskać jubileuszowy odpust zupełny pod warunkiem spowiedzi i Komunii św., nawiedzenia 4 kościołów, które wyznaczył biskup diecezji, i odmówienia następujących paciery: 5 Ojcze nasz, 5 Zdrowaś, 5 Chwała Ojcu w intencji Ojca św. 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś, 1 Chwała Ojcu i Wierzę, — nadto na intencję pokoju: „Królowo pokoju módl się za nami” 3 razy Zdrowaś Maryo, 1 Salve Regina.

TYGODNIK KATOLICKI — Nr 3 — Str. 25

Przebudowane w 1950 r. organy przez Firmę Wł. Kaczmarek z Wronek

Myśli katolickie

Nie wystarczy, by człowiek był dzielny, a poza tym robił co chce, lecz ma należycie wykonać swoją robotę. To jest pierwsze moralne osiągnięcie, którego Bóg od nas wymaga. To właśnie nazywa się „być dobrym”, do tego jesteśmy obowiązani, w tym jest powaga pracy w świecie.

Romano Guardini.

Określenie katolik powinno być równoznaczne z powiedzeniem — to pełnowartościowy człowiek, można polegać na nim, zaufać mu we wszystkim, on słowa nie złamie, Nie ma w nim fałszu, jest prawy do gruntu, bo jest katolikiem.

M. Czeska-Mączyńska.



— Szczecin-Niebuszewo. Do parafii Szczecin-Niebuszewo nie odważyłbym się w tej chwili pokazać. Co nie, to nie. Oczywiście z winy Tygodnika Katolickiego, a raczej może nie tyle Tygodnika ile chochlika drukarskiego, który spletał mi figla. Bo ten chochlik drukarski to istne diabeł. Chciał człowiek pochwalić pięknie rozwijającą się parafię i proboszczą z oddaniem i poświęceniem pracującego nad dusz zbawieniem. Taki miałem zamiar, gdy w jednym z ostatnich numerów napisałem krótką notatkę o parafii Szczecin-Niebuszewo. Zaczęłem od słów: „liczna to parafia”. Po wydrukowaniu „Tygodnika” otwieram oczy ze zdumienia i czytam pod tytułem Szczecin-Niebuszewo: „licha to parafia”. Oj, oj, oj, gwałtu! Jak pokazać się na tamtym terenie. Boję się proboszcza i boję się parafian.

Zeby zaś prześlagać nieco słuszny gniew muszę nie tylko bić się za winy „Tygodnika” w piersi, ale też zrobić coś porządnego. Otóż odszczekuję tę chochlikowską lichotę. Parafia nie jest licha, ale dobra. Ma zanego proboszczą i zacnych parafian, którzy są pobożni i bardzo do Kościoła przywiązani. Ich ofiarności na cele kościoła jest wielka, dowodem tego piękno kościoła, ołtarze i organy. Nawet zegar na wieży o tym wszystkim świadczy. Specjalne nabożeństwo mają do Matki Boskiej. Koło Jej kaplicy gromadzą się chętnie na modlitwy, polecając się opiece Pani, dla której czują miłość, żywy i głęboki kult.

Życie religijne parafii bije żywym tętnem. Pogłębiły się misje, a odnowiły rekolekcje święte. Misje odbyto w 1950 r. W parafii kwitnie i rozwija się chrześcijańskie miłosierdzie. Ks. Proboszcz Nowicki ma specjalnie czule serce na wielkie potrzeby niedoli ludzkiej. Troska się o mąkę, chleb, kartofle i inne rzeczy dla ubogich. Wielką miłością kapłańskiego serca otacza działalność.

W parafii Szczecin-Niebuszewo rozwija się i pracuje pozytywnie Tow. Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie. Opiekunem tego Towarzystwa jest ks. prof. Mgr Koryl Edward, prezes oddziału Kulu w woj. Szczecin. Dzięki jego energii Tow. Przyjaciół KUL pięknie pracuje. Tenże kapłan pomaga wydatnie Ks. Proboszczowi Nowickiemu w pracy parafialnej. W początkach istnienia parafii prawą ręką Ks. Proboszcza był Ks. Mieczysław Marszałik, obecnie pracujący z oddaniem w Niższym Seminarium Duchownym w Gorzowie.

Więc parafia Szczecin-Niebuszewo nie jest lichą parafią. Jest parafią dobrze pracującą, której chwala Boża na sercu. Wołam to głośno, by mnie nikt z tego tytułu nie zaczepił. Nie moja wina. Chochlik drukarski jest złośliwy i nie jeden raz zrobił mi kawał. Tym razem się boję, więc prostuję błąd. Gdyby więc życie zaniósł mnie czasem na teren Szczecina, niniejszą notatkę będę miał pod wierzchem, by się na wszelki wypadek legitymować. (G).

— Krosno nad Odrą. Huragan przeszedł przez Krosno jak burza, zostawiając za sobą wszędzie ruiny i zgłiszcz. Tych ruin w Krośnie tak dużo, gdyż zniszczenia są wielkie. A szkoda, że Krosno nie zachowało się całe jak było. Co za piękne byłoby to miasto! Położenie wspaniałe, pełno zieleni, ogrodów. Środkiem szeroką wstęgą wije się Odra.

Za niemieckich czasów był w Krośnie tylko jeden i to na dodatek mały katolicki

kościół św. Jadwigi. Dziś odprawiają się w nim tylko kilka razy do roku nabożeństwa. Dwa inne kościoły Krosna, mianowicie kościół św. Andrzeja i wielki Najświętszej Maryi Panny były protestanckimi świątyniami. Gdy na prastare polskie ziemie wrócili dziedzice Piastów, gdy oblicze ziemi stało się znów jak ongi katolickie, okazała się konieczność objęcia świątyni po protestanckich dla celów Kościoła katolickiego.

Pierwszym proboszczem Krosna był ks. Jankowski Stanisław. Przybył do Krosna w listopadzie 1945 r. i począł z rozmachem kłaść podwaliny nowej parafii. Ludność pochodząca częściowo z Poznańskiego, a częściowo z repatriacji ze Wschodu garnęła się do kościoła chętnie.

Od roku 1947 administratorem parafii krosnieńskiej jest ks. Pawłowicz Józef, repatriant ze Wschodu. Gdy przybył ten kapłan na nową placówkę, ogrom pracy piętrzył się przed nim. Trzeba było pokonać wiele trudności, by postawić parafię i pracę parafialną na właściwym poziomie. Najpierw należało doprowadzić do stanu katolickiej żywności największy kościół miasta N. M. P. Zadanie, niełatwe i wymagające wiele kosztów.

Dział korespondencji

— Andrychowski Tadeusz — Pomlewo. Cieszy nasz fakt, że mamy w Panu tak wiernego i oddanego przyjaciela. Dziękujemy za miłe słowa wyrażające głębokie uznanie dla naszej pracy. Są one dowodem właściwego zrozumienia przez Pana celów i zadań „Tygodnika Katolickiego”. Zadania „Tygodnika” na przyszłość widzi Pan w dalszym popularyzowaniu etyki katolickiej, stawianiu wzorów godnych naśladowania. Podpisujemy się pod tym oburącz.

— Halina Hołotówna. Byliśmy mile zdziwieni czytając Pani pytania: mimo młodego wieku interesuje się Pani poważnymi zagadnieniami. To dobrze. Tylko ludzie myślący głęboko mają szansę wpływać na bieg życia. Na postawione pytania, ze względu na szczupłość miejsca w naszej rubryce, odpowiemy listownie. Być może, że tematy poruszone przez Panią (problem wieku rodzaju ludzkiego, zagadnienie pochodzenia człowieka) uda nam się szerzej

ZAKŁAD BUDOWY ORGANÓW

Kościelnych, Koncertowych najnowszej konstrukcji

Przebudowy, reperacje i kontraktowe strojenie organów. Dostarczanie motorów do zapędu powietrza, nowych piszczałek metalowych do wszelkich systemów organów oraz wszelkich w zakres wchodzących części

LUDWIG SAGANOWSKI

mistrz budownictwa organów

Poznań

ul. Grudzieniec nr 111 — Telefon 501-04.
Dom własny.

POSZUKIWANIA OSÓB ZAGINIONYCH

Julian Hermanowski poszukuje żony swej Wiery i syna Eugeniusza Antoniego, którzy do wybuchu Powstania Warszawskiego mieszkali w Warszawie, ulica Wolska 82.

Wiadomość można przysłać do Sekretariatu Prymasa Polski, — Warszawa Aleja I. Armii W. P. 12.

Wzięto się do pracy. Zniknęły szpecące kościół balkony, ułożono posadzkę, a nade wszystko odremontowano 50 głosowe organy, kosztem pół miliona złotych. Może drugie tyle kosztowały inne remonty świątyni. Na wieży kościoła postawiono wielki krzyż w miejsce dawnego wiatromierza. Dziś krzyż ten zdala rzuca się w oczy, gdyż wysokość wieży wynosi około 70 metrów.

Parafianie Krosna są gorliwi i ofiarni. Na cele związane z potrzebami świątyni nie skąpią ofiar. Za to też mają dzisiaj wielką, przestronną świątynię, w której dobrze im się modlić.

Kościół św. Andrzeja jest za szczupły na główne parafialne nabożeństwa.

Praca parafialna w Krośnie rozwija się dobrze. Ks. Pawłowicz sił nie szczędzi, ludzie garną się do świątyni. Ducha Bożego w duszach pogłębiają co roku rekolekcje. W 1950 r. były misje pod kierownictwem OO. Oblatów, które głęboko przeorały dusze ludzkie.

W rozbitym wojną Krośnie jest obecnie około 3000 dusz. Cała parafia liczy około 8000. Kościołowi do obsługi jest 12. Kościół parafialny otoczony jest zielenią. Wokół sterczą ku niebu ruiny i gruzowiska. (G)

potraktować w przyszłości, w formie specjalnych artykułów. Wierszyk, niestety, jeszcze za słaby do druku. Radzimy czytać, możliwie jak najwięcej utworów poetyckich i wytrwale pracować nad formą. Łączymy pozdrowienia z prośbą o przysłanie swego adresu. T. H.

Do P. T. Prenumeratorów „Tygodnika Katolickiego”

W związku z przejęciem kolportażu naszego pisma przez Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch” zwracamy się z prośbą do wszystkich abonentów, żeby opłatę za „Tygodnik Katolicki” kierowali do tegoż Przedsiębiorstwa od 1. II. 51 r.

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch” między innymi zobowiązało się wobec Wydawnictwa: 1) Celem ułatwienia naszym czytelnikom w uiszczaniu opłat, rozsyłać swoje czeki. 2) Przeprowadzać korespondencję z poszczególnymi abonentami. 3) Przyjmować reklamacje.

Unikając zamieszania w księgowości, Wydawnictwo bardzo prosi wszystkich P. T. Prenumeratorów „Tygodnika Katolickiego” o utrzymanie kontaktu (w sprawach tegoż czasopisma) tylko z P. P. K. „Ruch”.

UWAGA: Zaległa należność za Tygodnik Katolicki do 1. II. 1951 r. przyjmuje w dalszym ciągu Wydawnictwo „Tygodnik Katolicki”. Nadpłacone sumy przekazane zostaną P. P. K. „Ruch” na prenumeratę w 1951 r. Redakcja.

PODZIĘKOWANIE

Serdeczne podziękowanie Matce Bożej Rokitniańskiej za pomoc w nauce i wiele opieki. R. J.

ODPADY ŚWIECOWE

na świece kościelne, gromniczne itp. przelewamy na korzystnych warunkach.

Chemiczna Spółdzielnia Pracy w Krotoszynie, Sienkiewicza 2a.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.
Telefon 739 — P. K. O. V-854/113. Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.
Ogłoszenia w cenie 3,60 zł za mm wysokości w jednej szpalcie.
Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 56 — 1. 51.
K-2-15024 — 23. 1. 51. Druk ukończono 27. 1. 51.